

„Opowieść o powstaniu Łodzi”

Dawno, dawno temu... za górami, za lasami... było sobie królestwo Lecha. Porastały je gęste lasy i polany, ku rozgrzanemu słońcu pięły się góry, których szczyty tonęły w białych obłokach, a wszystkie te tereny były bogate w roślinność i zwierzynę. W królestwie Lecha wiły się również dziesiątki rzek o wartkich strumieniach. To w tych właśnie rzekach dwóch braci widziało przyszłość królestwa i nowe oblicze ludzi. Bracia mieszkali w małej wiosce na wschodzie królestwa, nieopodal lasu. Pierwszy, młodszy brat był niczym promyk słońca. O jasnych, słomianych włosach, radosnych oczach, niebieskich i jasnych jak górskie potoki oraz policzkach czerwonych jak jabłka, które pomagał zbierać w sadach. Był to młody, pełen energii chłopak, który pomagał i za pomoc otrzymywał zawsze coś w zamian. Był beztroski, jak to młodzi być potrafią, i nieco naiwny, ale i tak cała wioska mogła bez zająknięcia stwierdzić, że był to chłopak jak złoto. Drugi natomiast z oblicza przypominał kruka. Włosy miał w kolorze węgla, brwi grube i krzaczaste, a oczy, które przypominały wypalone węgle, patrzyły na świat jak na jałową ziemię. Posturą przywodził na myśl pień dębu, dłonie miał wielkości dwóch bochnów chleba i gdy się odzywał, jego głos niósł się złowieszczym echem. Do tego z braci nikt się nie zbliżał, nikt nie prosił go o pomoc, a gdyby jednak brat spróbował jej udzielić, nie skończyłoby się to aprobatą ze strony poszkodowanego. To też starszy z braci od zawsze spędzał dni w samotności, a gdy podrósł zniknął gdzieś w lesie, aż nie zaszło słońce albo i dłużej. Różne rzeczy o nim mówiono, że pomyłony, że pomocnik diabła, że morderca. Takiego to, tylko matka może kochać. Ale starszy brat się tym nie przejmował. Nie próbował zaprzeczać plotkom ani zmieniać obecnego stanu rzeczy. Tylko niebieskookiemu nie podobało się, że takie rzeczy powiadają o kimś, kto był z nim tak blisko spokrewnionym.

Jednak dni, miesiące i lata płynęły, niczym nurt rzeki i w końcu dwaj bracia szli ramię w ramię, obaj całkiem dorośli. Na początku w ciszy, sunęli przez trawę, sięgającą im do pasa, tuż pod lasem.

- Miałem taki sen. – Przyznał starszy, swoim głosem, podobnym do zapowiedzi śmierci. Drugi skrzywił się. – Śniło mi się, że powinniśmy płynąć z nurtem rzeki.

- I co dalej? – Zakpił niebieskooki, po czym wyrwał kępę trawy i rzucił ją za siebie. – Będziemy tak płynąć i płynąć aż się zestarzejemy?

- Nie. Założymy osadę, naszą własną. – Mówił czarnooki, wpatrzony między pnie drzew i przysłuchując się strumieniowi, który z odległości kilkudziesięciu stóp mógł usłyszeć tylko on.

- To głupie. – Młodszy pokręcił głową. – I gdzie dopłyniemy? Z czego wyżyjemy? To bardzo głupie. Najlepiej nam będzie, jeśli zostaniemy tu, gdzie jesteśmy.

- Jeśli płyniesz wzdłuż rzeki, to zawsze gdzieś dopłyniesz, bo gdzie woda, tam i życie. – Stwierdził starszy i wyciągnął szyję. – Pomóż tej kobiecie.

Doszli bowiem do chatki pewnej starej kobiety, kulejącej na jedną nogę. Szła teraz w stronę studni z cebrem w dłoni i widać było, że nawet puste narzędzie jej ciąży. Młodszy brat szybko na nią spojrzął. Była niezwykle ubogą osobą, odkąd jej mąż umarł. Sama dla siebie nie miała za wiele do jedzenia, nie mówiąc o jakiś cennych przedmiotach. Spojrzął więc tylko z niesmakiem na brata i westchnął.

- Ale z ciebie leń. – Dodał i z wymuszonym uśmiechem ruszył w stronę kobiety. Nabiał jej wody ze studni, potem zaniósł do domu i tak jak się spodziewał za rzetelnie wykonaną pracę tylko się do niego uśmiechnęła, okropnym, szczerbatym uśmiechem. Odwzajemnił gest i ruszył z powrotem do brata schowanego wśród drzew.

- Gdyby się nie zachowywał jak posłannik śmierci, to może by go za takiego nie brali. – Szepnął sam do siebie, nim doszedł do krewnego.

- Więc jak będzie? Tchórzysz czy płyniesz ze mną? – Zapytał ciemny brat z mniej groźnym wyrazem twarzy niż zwykle i czymś na kształt nadziei w wygastrych oczach.

Brat wzruszył ramionami i postanowienie zapadło. Gdy wrócili, opowiedzieli o tym w wiosce i wszyscy okazali wielki entuzjazm. Zadowolony z obrotu wydarzeń, jasny brat postanowił więc, że sukcesem z założenia osady nie będzie się dzielił z nikim innym.

- Bracie – Powiedział w izbie, gdzie przed chwilą przedstawił swoje i brata plany. – Rzucę ci wyzwanie. Zamiast jechać ramię w ramię, popłyniemy osobno i kto pierwszy się osiedli, będzie miał prawo również do terenów tego drugiego. Czy przystajesz na tę propozycję? – Wszystkie oczy skierowały się na starszego z barci.

Ten westchnął, bo nie tak sobie to wyobrażał, ale zgodził się.

Następnego ranka obaj pożegnawszy się z rodziną, wypłynęli w stronę zachodnią i płynęli w górę rzeki, najpierw razem. Jakaś siła nie pozwoliła im się rozłączyć przez pierwsze dni wiosłowania, aż do momentu, kiedy nurt rozchodził się w dwie strony. Jedna była prosta i szeroka, druga kręta, wąska i o kamienistym dnie.

- Trzeba płynąć tędy. – Młodszy brat wskazał podbródkiem szeroki nurt.

- Mam inne przecucie. – Przekonywał drugi, którego coś ciągnęło w stronę krętego spływu. Tak pożegnawszy się gorąco, popłynęli w dwie różne strony, a po chwili młodszy brat już wesoło chichotał.

- Ha, ha! Co on sobie myślał, przystając na moją propozycję? Przecież on w ogóle nie umie pływać, nie to, co ja! Naprawdę nigdy nie widziałem go na wodzie, sądzę, że się jej boi. Pewnie tylko dlatego chciał płynąć ze mną. A teraz wybrał taką trudną trasę... Ale co mam powiedzieć, jedyna plama na mojej chlubie chyba w końcu się zmyje. Ha, cóż za głupiec! – Po następnych kilku godzinach na wodzie, niebieskooki zauważył chmury zbierające się nad jego głową i poczuł niepokój, a wzmógł się on, kiedy usłyszał wołanie.

- Pomóż mi, proszę! – Głos należał do kobiety, wymachującej do niego z brzegu. Była ubrana w łachmany, twarz miała brudną, a włosy poplątane w czerwone kołtuny. Zatrzymał na chwilę łódź, aby się jej przyjrzeć. Nie miała ze sobą nic, nawet żadnej biżuterii.

- Odejdź, zbiera się burza i nie chcę kłopotów. – Warknął pod nosem i jak najszybciej powiosłował dalej. Kobieta po chwili przestała za nim wołać i w końcu poczuł ulgę, ale nie trwało to długo, bo po chwili znów ktoś go nawoływał.

- Dobry człowieku, weź mnie ze sobą! Błądzą tu od miesięcy! – Wołał staruszek z garbem na plecach, poruszający się o lasce.

- Odejdź! Idzie burza, ty nie powiosłujesz, a będziesz dodatkowym obciążeniem. – Odpowiedział, nawet się nie zatrzymując. Potem kolejne wołanie przecięło chwilową ciszę, wystrzając się, zanim niebieskooki zdążył uzbroić się w nerwy.

- Ej, ej, stań proszę na chwilę! – Wołał czarny, rosły mężczyzna z obnażoną piersią i kilkoma krwawiącymi zadrapaniami na czarnej skórze. Brat na chwilę zatrzymał łódź i przypatrzył mu się z niepokojem. – Nic nie miałem w ustach od tygodni, proszę podziel się ze mną kawałkiem chleba albo chociaż zawieź do najbliższej osady. Jestem silny i mogę wiosłować...

- Burza idzie i będę potrzebować prowiantu, nie mogę go dzielić między byle kogo. – Odburknął i w obawie, że czarny zdąży do niego dopłynąć, szybko się oddalił.

Niebo już całkiem zszarzało i drobny deszcz zaczął kłuć brata niczym małe igiełki. Nie miał czego naciągnąć na głowę, został mu jeszcze stary worek na ryby, ale śmierział, a brat wyglądałby w nim jak byle wieśniak, a nie przyszyły pan osady. Monotonne kapanie przerwał ostatni krzyk... albo raczej skomlenie. Spomiędzy drzew wyskoczyła straszna kreatura. Twarz miała wykrzywioną, oczy wybałuszone i oddalone od siebie, a kończyny po prawej stronie ciała jakby skurczone i podwinięte. Kuśtykał w stronę łodzi, rozpaczliwie zawodząc i brat z niesmakiem uświadomił sobie, jak daleko tej istocie do człowieka. Nie zatrzymał się i nie odezwał, tylko obserwował, jak to coś zbliża się do wody, goniąc za nim, przypadkiem jedną nogą wchodzi do strumienia i wyskakuje z dzikim piskiem. Brat odwrócił się z wyrazem niesmaku na twarzy i myśląc o tym, jakie ma szczęście, popłynął dalej. Po jakimś czasie deszcz nasilił się i dołączył do niego wiatr. Niebieskooki musiał więc przeczekać gdzieś burzę. Podpłynął pod brzeg, wyskoczył z łodzi i zaciągnął ją na plażę. Potem, jako że słuchał swego czasu nauk ojca, odwrócił łódź dnem do góry i wlał pod nią, kuląc się przy tym z zimna. Miał wrażenie, że kiedy tak drży po pokładem, mokry od pasa w dół, jego brat pewnie się topi, a on tak czy siak wygrywa zakład. Wtem coś odrzuciło łódź niebieskookiego i wylądowała ona kilkanaście stóp od niego. Oniemiały chłopak patrzył najpierw na swoje schronienie, roztrzaskujące się o drzewa, a później spojrzął przez siebie. Pośród szalejącej wichury i kropel deszczu, z powierzchni wody zaczęła formować się postać. I rosła z każdą chwilą jak rósł strach brata, i zbliżała się do niego z każdą chwilą jak gwałtownie bijące serca chłopaka, zbliżało się do jego żeber. W końcu stanęła przed nim kilkunastometrowa postać starca z długą brodą lejącą się jak wodospad i spływającą mu z ramion szatą.

- K-kim jes-steś? – Wydukał brat, bo tylko na to go było stać.

- Jestem kimś, kto jako jedyny wie, kim naprawdę jesteś. – Zagrzmiała postać, a jej głos przywodził na myśl fale rozbijające się o skały. – Tylko ja wiem, że tak naprawdę jesteś złym człowiekiem.

- Przecież zawsze pomagałem ludziom. – Powiedział oskarżycielsko, drżąc z zimna i strachu.

- Zawsze, czy tylko wtedy, kiedy mogłeś wyciągnąć z tego korzyści? Pomagałeś zbierać jabłka w sadzie, jeśli dostawałeś za to całą skrzynkę tylko dla siebie. Pomagałeś malować chatę, jeśli za to pozwalano ci zjeść w niej obiad. Ale czy pomogłeś potrzebującej kobiecie bez grosza przy duszy? Czy pomogłeś rannemu, nagiemu człowiekowi?

- C-czego chcesz? – Zapytał błąd na twarzy niebieskooki, osuwając się na kolana.

- Nie mogę wziąć twojej duszy, jako że jej nie masz. Wezmę więc twoje smutne, pełne oszustwa życie. – Odpowiedziała postać i w jednej chwili runęła falą na brata, zmywając go do rzeki.

Tymczasem historia drugiego z rodzeństwa potoczyła się nieco inaczej. Po rozłące z niebieskookim został całkiem sam, słuchając tylko szumu wody. Można by pomyśleć, że trasa była trudna do przepłynięcia, ale na pewno nie dla kogoś, kto każdej nocy pływał łódką, ucząc się każdej techniki i każdego terenu na pamięć, a że pływał tylko w nocy, mógł to robić równie dobrze z zamkniętymi oczyma. Niewiele zastanawiał się więc nad tym, co robi i płynął sobie razem z prądem, nie patrząc w niebo. Rozmyślał nad tym, że dobrze byłoby mieć kompana, który by się go nie bał i z którym mógłby rozmawiać jak równy z równym. Wtem usłyszał gdzieś z brzegu wołanie i niewiele myśląc podpłynął łodzią pod brzeg. Spomiędzy drzew wybiegła kobieta, która wydała się bratu tak piękna jak anioł, który przed sekundą zstąpił z nieba. Wokół delikatnej twarzy o pięknych, szlachetnych rysach rozsypane były splątane, rude włosy. Oblicze miała wprawdzie brudne, ale dwa czyste kanały, jakie wyżłobiły na jej twarzy łzy, nie pozwoliłyby odmówić jej miejsca w łodzi.

- Zabierz mnie ze sobą, proszę, obiecuję, że nie zajmę dużo miejsca. – Brat momentalnie odsunął wszystko, co miał na pokładzie, aby zrobić jej miejsce i podał jej rękę, aby mogła wejść. Po chwili płynęli razem i ani on nie patrzył na nią ze wstrętem, ani ona na niego ze strachem. Poczęstował ją chlebem i przyjrzał się jej palcom, całym pokłutym igłami.

- Byłaś szwaczką? – zapytał. Lekko zmakotniała i skinęła głową. Potem spostrzegł kilka brązowych plam na jej spódnicy. – To krew? Twoja? Jesteś ranna?

Pokręciła głową i spojrzała na niego ze smutkiem pomieszanym z wdzięcznością.

- Mam opowiedzieć ci, co mi się przydarzyło? – Zapytała. – Nikt nigdy nie pytał mnie o moją historię.

- A mnie nikt żadnej nie opowiadał. – odparł. Przyjrzała mu się z zaciekawieniem, a potem wbiła wzrok gdzieś nad jego głowę.

- Miałam dwójkę dzieci i sprzedawałam uszyte przez siebie tkaniny i ubrania. Moje dzieci któreś zimy zachorowały, bo nie miałam, czym napalić w piecu. Mnóstwo osób szyje i z tego nie ma za dużo pieniędzy. Zwłaszcza kiedy jesteś kimś takim, jak ja. W każdym razie nie miałam też pieniędzy na leki i moje dzieci rozchorowały się jeszcze bardziej, kaszlały krwią, płakały, majaczyły...

Aż w końcu oboje umarli. – Kolejna łza wyżłobiła świeży kanał na brudnej twarzy kobiety, ale wydawała się tym nie przejmować. – To było dawno temu. – Zakończyła.

- A twój mąż? – Zapytał brat, niby obojętnie.

- Nigdy go nie miałam. – Odparła ze wzruszeniem ramion.

- Wiesz, tam gdzie płynę, nie będzie żadnej szwaczki. Ty będziesz pierwsza. I nikt nie będzie miał męża, więc nikt nie będzie osądzał za to ciebie. – Powiedział, a kobieta uśmiechnęła się i płynęli dalej w kompletnej ciszy. Nie tej nieprzyjemnej i krępującej, ale tej poświęconej pamięci dwójki małych dzieci. Potem, kiedy brat zauważył, że niebo szarzeje, usłyszeli wołanie. Głos wołającego był ostry i zachrypnięty.

- Proszę... ktokolwiek... Już nie dam rady. – Podpłynęli do brzegu i zobaczyli starego człowieka o mądrych, sowich oczach. Na plecach miał garb i podpierał się bardzo ładnie rzeźbioną laską misternej roboty, bez wątpienia roboty jego własnych, zmęczonych pracą rąk. Wciągnęli osłabionego starca na łódź i kobieta nabrała w ręce wody, aby mógł się napić.

- Dziękuję. – Odpowiedział, gdy napił się, zjadł chleba, a łódź znów zaczęła płynąć z prądem. – Po tym, jak powiedzieli mi, że jestem za stary do pracy stolarza, nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić i zacząłem błędzić po lesie. – Starzec momentalnie zaniósł się szlochom. – Tak mi przykro, tak kochałem tę pracę... Zdążyłem sobie tylko tę łaskę wyskrobać, a potem mnie wyrzucili i zastąpili trzema młodszymi... Tę jedną mam pamiątkę po czterdziestu latach pracy...

- Tam, gdzie płyniemy, nie będzie żadnego innego stolarza i nikt nie będzie mógł powiedzieć ci, że jesteś na to za stary. – Odpart ciemny ze łzami w oczach i determinacją w głosie.

Płynęli przez jakiś czas, brat czuł, że zaraz zacznie padać. Wiatr nasilił się nieco, ale płynący byli zbyt zajęci rozmową, aby odczuwać chłód.

- Hej, stójcie, zaczekajcie! – Zawołał czarny mężczyzna z brzegu, machając do nich energicznie. Podpłynęli więc, aby posłuchać, co ma im do powiedzenia. – Weźcie mnie ze sobą, podzielcie się jedzeniem i zawieźcie do najbliższej osady. – Poprosił i brat widząc jego rany na gołej piersi, spracowane dłonie oraz determinację i chęć życia w oczach, nie mógł odmówić.

- Możemy zabrać cię ze sobą i nakarmić. Możesz też zamieszkać z nami w mojej osadzie. – Odpart brat, podając czarnemu mężczyźnie rękę.

- Zgoda. – Odpart, przyjmując dłoń i wchodząc na pokład. – A gdzie jest ta osada?

- Wkrótce to ustalimy. – Odpart, a mężczyzna zdziwił się, lecz nic nie powiedział, bo kobieta podała mu bochen chleba, który zjadł prawie w całości. Nowy przybysz nie opowiedział nic o sobie, ale musiał pochodzić z bardzo daleka, bo opowiadał o zwierzętach o skórze zielonej i twardej jak zbroja rycerska, gigantycznych koniach o olbrzymich kłach i uszach oraz rybach większych od pruskich zamków i do tego twierdził, że jego historie są prawdziwe. Mówił to wszystko z takim zapałem i entuzjazmem, że nikt nie chciał mu przerywać, a do tego – gdyby nie dobry słuch i podzielna uwaga czarnookiego – nie usłyszeliby cichego skomlenia. Na początku pomyśleli, że to ranne zwierzę, ale kiedy podpłynęli bliżej, wśród zarośli zobaczyli skulonego człowieka. Kiedy straszny brat go ujrzał, serce ścisnęło mu się w piersi, a oczy zapiekły od łez. Jeszcze nigdy nie widział kogoś, kto wydałby mu się bliższy. I nie widział już szpetnej twarzy, skurczonych kończyn czy śliny ciekącej z nieodmkniętych ust. Widział przestraszonego człowieka, odtrąconego przez ludzi, nierozumiejącego ani niezrozumianego. Człowiek oganiał się od spadających z nieba kropeł deszczu, jakby były kłającymi go, wściekłymi owadami. Brat szedł z łodzi i powoli zaczął się do niego zbliżać. Kiedy człowiek go zobaczył, brat wystawił w jego kierunku wyciągniętą dłoń, którą ten ujął bez zastanowienia. Teraz płynęli już w piątkę, schowani przed deszczem pod workiem, w którym brat trzymał wcześniej złowione ryby. Było im razem bardzo dobrze, ale wiatr i deszcz nasiliły się, więc musieli zejść na brzeg. Kiedy wyszli na plażę, brat z pomocą czarnego przewrócił łódź dnem do góry, bo tak uczył go kiedyś ojciec i wszyscy wsunęli się pod nią, niezmoczeni aż tak bardzo. Pod łodzią było im ciepło, bo byli stłoczeni bardzo ciasno i ogrzewali siebie nawzajem. Większość z nich była śpiąca, więc nie trwało długo, zanim senne rozmowy ucichły i wśród przytomnych pozostał już tylko brat, ale szybko zaczął w swoją przytomność wątpić, bo usłyszał, jakby ktoś na zewnątrz wypowiadał jego imię. Zaraz pomyślał, że może znalazł go brat i w przewróconej łodzi rozpoznał nauki ich ojca, więc wyszedł, żeby to sprawdzić. W powietrzu unosiła się lekka mgiełka z wody, wokół wiatr uginał drzewa aż do ziemi, a woda w rzece szalała. Nagle z tej wody zaczęła wyłaniać się postać, ale w porównaniu z rzeką, jakaś dziwnie spokojna. Od postaci - staruszka z dobrotliwym spojrzeniem i burzą włosów niczym strumień - bił srebrzysty blask.

- Witaj. – Powiedział brat z uśmiechem i wskazał na łódź. – Połączysz do nas? Zostało jeszcze trochę chleba.

- Dziękuję, że to mówisz, drogi panie. – Odpowiedziała postać i skłoniła się przed bratem. – Jestem tu, aby nagrodzić cię za to, co w życiu uczyniłeś. Za każdy dobry gest czy chęci. I bohaterskie czyny, których dokonałeś.

- Nie zrobiłem przecież nic niezwykłego. – Zdziwił się ciemny brat.

- I właśnie dlatego, że tak mówisz, twoje czyny nabierają jeszcze więcej męstwa. Jutro o świcie, kiedy ty i twoi kompani wyjdziecie spod łodzi, w sieciach będzie na was czekać pełno ryb i zerwanych owoców, drewno będzie porąbane, a glina rozkopana. I oczywiście, będziecie mieć pełno czystej wody. To wystarczy, aby zacząć budowę twojej osady.

- Dziękuję ci, panie. – Powiedział brat, padając do stóp starca i całując jego chłodną dłoń. Postać pogłaskała brata po głowie i już miała odejść, gdy ten ją zatrzymał. – Czy wiesz może, co stało się z moim bratem? – Zapytał z nadzieją.

- On nie był twoim bratem, ani twoim, ani niczym. Był tylko uosobieniem najgorszych cech, jakie ludzie posiadają. Tymczasem ty, masz na własność całą tę krainę pełną rzek. – To powiedziałwszy skinął ręką na łódź, która w oka mgnieniu roziskrzyła się złotem. Potem postać rozplynęła się w rzece.

Następnego dnia było tak jak tajemniczy przybysz powiedział, więc osadnicy rozpoczęli budowę domów. Czarnooki wypływał łodzią przez następne tygodnie, aby znaleźć swojego brata, jednak bezskutecznie. Wkrótce do osady zaczęli przybywać rybacy, rolnicy i tkacze, dla których warunki tutaj były idealne. A osadę, na cześć przygody pierwszych mieszkańców, nazwano Łódź.